

Leon Weintraub

część I z II

Sygnatura notacji: **N0773**

Data urodzenia: **01.01.1926 r.**

Data nagrania: **17.09.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Hotel Novotel, Kraków, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 63 min, część II: 63 min.**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Leon Weintraub: Leon Weintraub, moje imię, nazwisko. Urodzony w Łodzi 1 stycznia 1926 roku, więc ukończyłem lat 99 w styczniu i za 3,5 miesiąca przekroczyć próg 100 lat. Urodzony w rodzinie: miałem cztery starsze siostry ode mnie – sześć, pięć, cztery i dwa lata starsze. Nareszcie piąte dziecko – ale syn, bo marzeniem i pragnieniem każdego ojca w rodzinie żydowskiej jest mieć syna, który na jego grobie będzie mógł wymówić modlitwę pogrzebową Kaddisz. Ojciec zmarł tylko półtora roku po moim urodzeniu, tak że ja miałem obraz jego na dnie oka, ale mózg go nie zarejestrował. Nie wiem, jak mój ojciec wyglądał. Nie ma żadnego zdjęcia jego za życia. Matka została wdową, z pięciorgiem dzieci. Młoda jeszcze, 37 lat. I jak to bywa w rodzinach żydowskich, obowiązkiem braci zmarłego jest zająć się wdową, aż do ożenku, jeżeli nie mają już własnej rodziny. Mama odmówiła wszelkich propozycji małżeństwa i powiedziała, że sama się zajmie swoimi dziećmi. Zdjęła perukę swoją rytualną, jak jest obowiązek dla kobiet żydowskich w momencie zawarcia małżeństwa i wszystko, co miała sprzedała i przejęła matką pralnię na ulicy Kamiennej, róg Wschodniej w Łodzi. Obecnie to się nazywa Włókiennicza. Ja krótko tylko opiszę te warunki, w jakich spędziłem moje dzieciństwo. Wejście z ulicy, na lewo okno wystawowe, za wejściem stół do przyjmowania brudnej bielizny, na prawej ścianie półki na gotową bieliznę, dwa przepierzenia, za którymi było po lewej stronie okno, do tego okna na ulicę i z tyłu, za tym tylnym przedpierzeniem dwa stoły do pracy. Tam prasowano, składano. Te trzy stoły stały się wieczorem łózkami dla moich sióstr. Wejście do drugiego pomieszczenia podłużne, z wyjściem na podwórze, przed wyjściem po prawej stronie murowany kocioł z paleniskiem do gotowania tak zwanej białej bielizny. Po lewej stronie kredens kuchenny, dwa łóżka – dla mamy i dla mnie. Na suficie drążki do zawieszenia bielizny do suszenia. I pod spodem, naprzeciwko tego kotła do gotowania białej bielizny, duża balia z wyżymaczką i taką pralką – dzisiaj nieznany instrument, bo dawniej pralek nie było – drewniana rama z taką falowaną blachą, w której

się prało bieliznę. To było miejsce pracy i miejsce pobytu, mieszkania dla matki z pięciorgiem dzieci. Nie muszę chyba dodać, że to było bardzo skromnie, właściwie ubogo. Byłem w dzieciństwie, mama próbowała mnie trochę uczyć judaizmu, bo właściwie obowiązkiem ojca rodziny jest wychowanie religijne syna, bo o córy to się wtedy nie dbało. Ale nie było ojca, więc mama posłała mnie do tzw. chederu, szkółka dla chłopaczków żydowskich, od 3–4 lat do 7 roku życia. To było naprzeciwnie. Urodziłem się na Solnej 12, róg północny. Na przeciwko pod piątym był taki właśnie cheder. Na pierwszym piętrze, pokój nieduży. Tam było 20–25 chłopaczków w podanym przedziale wieku. Przed nami stał starszy pan z brodą. Coś tam mruczał pod nosem w języku dla nas niezrozumiałym, językiem Starego Testamentu, hebrajskim. I kazał nam powtarzać za nim. To mi głupio było, bo nie rozumiałem ani słowa i co miałam powtarzać. Tak że jak żeśmy się przeprowadzili po śmierci ojca z Solnej 12, na Kamienną 2, powiedziałem mamie: „Mama, ja tak nie chcę tego dalej robić, tym hederem, ja nic nie rozumiem, co on tam mówi”. A mama, nasza kochana matka miała tyle zajęć, żeby nas utrzymać nad wodą, nie nalegała. Tak że moje wychowanie religijne było bardzo ograniczone. To, co wiem o judaizmie, o religii mojżeszowej, to to, co potem się nazywałem, dowiedziałem. I była okazja potem, wspomnę o tym wkrótce, że miałem bezpośredni kontakt z tym praktycznym wykonaniem religii żydowskiej, mojżeszowej. Miałem otwartą głowę, byłem zdolny, chłonny. Już od piątego roku życia płynnie czytałem i wypożyczałem książki z biblioteki. I byłem fanatycznym oglądaczem filmów. Były wtedy w Łodzi dwa rodzaje kin. Jedno normalne – bilety, kontrola biletów, wchodziło się do salonu, światło gasło, film się odbywał, kończył się, światła się zapalały, ludzie opuszczali salon i nowa grupa. A drugi system był tak zwany bez przerwy, w kółko Macieju szło. Wchodziło się po środku, odczekało się początek, jak pojawiły się sceny, które był jak przy wyjściu, to się opuszczało salon. Jak dostać się do kina, jak się nie ma pieniędzy? Był wtedy zwyczaj: jak dwoje dorosłych kupowało dwa bilety, mogli zabrać dziecko bezpłatnie. Na początku próbowałem prosić: „Proszę pani, zabierzcie mnie ze sobą”. Ale na ogół odrzucali. To wtedy znalazłem sposób. Nauczyłem się, że dostawić się do dorosłych, dojrzałych par nie ma sensu, bo zobaczą, odgonią. Ale młoda parka, zapatrzona w siebie, nawet nie zauważyli, ja się przystawiłem do boku i mogłem wejść, ale przeszkodą stał się potem ten kontroler, bo jak sprawdził bilety, patrzy na mnie: „Uciekaj szczeniaku, masz za dużo rodziców”. Bo za każdym razem wchodziłem z inną parą. To szukałem innego kina. Ale to zaważyło bardzo na moim życiu – czytanie i oglądanie filmów. To stało się dla mnie jakby dziurką do klucza zajrzeć w inne życie. Ludzie inaczej ubrani, inaczej chodzący, mieszkający w innych warunkach i mówiący innym językiem. Ja teraz jako dojrzały, byłem lekarz położnik ginekolog, jednak wyciągam wnioski z tego, że to wzbogaciło mój mózg o tyle, że łatwość skojarzeń, łatwość tworzenia nowych dróg myślowych w mózgu, przez to doświadczenie tysięcy książek, jak się nazywałem. Na początku tylko awanturnicze, jak „Tarzany” i kowboje, Indianie i tak dalej. W siódmym roku życia zacząłem szkołę podstawową, zmienił się mój język porozumiewania, bo w domu się mówiło jidysz z mamą, a w szkole był polski. Pierwsza szkoła była na rogu Kilińskiego, imienia Krzaka. Nie wiem z jakiego powodu, ale wkrótce przeniesiono nas na Kilińskiego 63, naprzeciwko dworca publicznego, tak zwanego kolejniaka, był taki mały zagajnik. Wydaje się, że ten dom narożny zburzono, dlatego szkołę przeniesiono. Byłem dobrym uczniem, miałem same piątki, dobre wyniki i po szóstej klasie w czerwcu 1939 roku, po różnych testach, zakwalifikowano mnie na linię humanitarną [humanistyczną], nie przyrodniczą, i dostałem miejsce zapewnione w gimnazjum imienia Józefa Piłsudskiego na ulicy Sienkiewicza. Wolne miejsce, zwolnione od czesnego, na podstawie moich dobrych wyników, do sześciu lat szkoły podstawowej. Wakacje ostatnie, trzy lata przed wojną spędzałem u cioci Hadassy, w Warcie nad Wartą. Mama mnie tam wysyłała na rekreację od tego zakurzonego, zadymionego miasta Łodzi, miasta tysięcy fabryk, kominów, z których dym walił. A ciocia Haddasa miała męża, Chemię, który miał wóz jak na „dzikim zachodzie”,

dwa konie. Zbierał zamówienia na rynku od kupców, jeździł do hurtowni, do Łodzi, przywoził towary i to był jego dochód. Wujostwo miało dziesięcioro dzieci. Dwóch już było poza domem. Najstarszy, Itzhak, wyjechał do ówczesnego protektoratu angielskiego do mandatu Palestyny, ten skrawek nad Morzem Śródziemnym, który po I wojnie światowej, po upadku osmańskiego państwa, imperium, rozdzielono wtedy na nowe państwa: Libia, Syria, Liban, i tak dalej, ale ten skrawek został bezpański. Tam nie było ani większej ludności, ani żadnego królestwa. To przekazano Wielkiej Brytanii jako prorektorat, jako mandat. Co się później z tym stało, to jest wiadomo, to jest inny temat. Ja te wakacje pamiętam bardzo dokładnie, ponieważ ja mam taki mózg, mam taką pamięć, która jest oparta na obrazach. Nie pamiętam żadnych rozmów, ale jak widzę obraz, to mogę go bardzo dokładnie, szczegółowo opisać. Na rogu Klasztornej 6, od rynku odchodząca mała uliczka, po lewej stronie, na przeciwko, olbrzymi klasztor bernardynów, imponujący bardzo budynek i ta mała chałupka, mająca tylko dwa pomieszczenia. Z korytarzyka wyjście do pokoju, podłoga z drewna, stół pośrodku, na prawo szafa na odzież, naprzeciwko łóżko dla rodziców, dwa okna na ulicę. To był pokój dla rodziców. Wyjście do drugiego pomieszczenia, tu już było podłoga – klepisko gliniane, wyjście, kuchenka, wyjście na podwórkę do tej stajni, gdzie były te dwa konie i wóz, no i takie szczury. Drabinka na stryszek, gdzie tylko na słomie, bez pościeli, spaliśmy te ośmioro plus mnie, jak sardynki w pudełku poukładane. Drugi kuzyn był w Wojsku Polskim, Leon Leńczycki było nazwisko, tak że byliśmy osiem rodzeństwa i ja. Najstarsza kuzynka, Minia, dziesięć lat starsza ode mnie, już miała mieszkancko osobne pod czwórka. Na pierwszym piętrze był taki krużganek, tam miała pokoik dla siebie, już była za duża, żeby z nimi spać razem na tej słomie. Codzienne życie było bardzo skromne, ale mam w pamięci jakąś czystość, wdzięczność do Boga za każdy dzień, który minął w spokoju, bez upokorzenia, bez prześladowania. I na co dzień kromka chleba z masłem, posypana cukrem, jakaś tam zupka. Tylko raz w tygodniu w piątek uroczysty obiad, prawdziwy obiad z trzech dań. Ale przedtem był rytuał. Kąpiel rytualna w tzw. mykwie koło synagogi, zmiana bielizny na czystą, potem nabożeństwo w synagodze. Ja udawałem, że też się modłę, ale nie umiałam czytać tych modlitw, ale udawałem, że coś tam mruczę pod nosem. No i potem ta kolacja: najpierw przystawka, ryba po żydowsku, albo faszerowana, albo karp po żydowsku. Jak wspominam tę nazwę, to muszę jednak wspomnieć nowelkę, którą moja synowa Katarzyna Wajda napisała i ukazała się w Szczecinie, „Pogranicze” czasopismo, pod tytułem „Karp pożydowski”. Dlatego, że nie po żydowsku, tylko pożydowski, bo Żydów już nie było po wojnie. I opisała mi Kasia, jak to się stało, bo miała relację od satyryka warszawskiego, który w restauracji na Traugutta Amika Jewie Style, restauracja niekoszerna, przyszedł satyryk, sala pusta i mówi: „Panie starszy, a karp pożydowski jest?”. Bo nie było ani ruskich, ani Polaków, ani Żydów, pusta sala. I to była ta geneza tej nowelki, która jest warta przeczytania, w pięknym stylu. Ale to było małe odchylenie od normalnej relacji mojego długiego [życia], bogatego, w pozytywne i negatywne elementy. Z tego miasteczka Warta nad Wartą mam jeszcze taki obraz, że Gabryś, kuzyn, miał zadanie opiekowania się końmi. On i Heniek, najmłodszy kuzyn, dwa lata starszy tylko ode mnie. I ta procedura prowadzenia koni do rzeki i przebieg czyszczenia tych koni. I jeden bardzo przykry element, jak kuzynowie chcieli mnie nauczyć pływać. Wzięli mnie na środek rzeki Warty, puścili, mówili: „Pływaj!”. A ja zacząłem tonąć. Od tego czasu mam wielki respekt przed wodą i mogę się utrzymać na powierzchni wody tylko na grzbiecie, kiedy mogę kontrolować oddech. Płuca wypełnione powietrzem trzymają mnie na powierzchni, ale na brzuchu to tonę. I pierwsze odczucie, że jestem inny, nie przez własne odczucie, tylko narzucone przez innych. Mianowicie wracając tymi końmi do miasteczka, chłopaki kamienie rzucali na konie, prowokowali konia w galop, myśmy nie mieli siodeł, kurczowo trzymaliśmy się grzyw koni, żeby nie spaść. Pierwszy objaw, że inni uważają mnie, że ja jestem inny. Krzyczeli: „Żydki, Żydki” za nami. Ja się dziwiłem, bo ja nie widziałem żadnej różnicy. Nie wiedziałem, co oni właściwie

chcą. No i jak na skrzydłach radości wracałem do domu w sierpniu 1939 roku. W pełni oczekiwania na początek dalszego kształcenia. Bo miałem lat 13, ale już wtedy było dla mnie jasne, że jedynie przez wykształcenie mam możliwość, szansę opuścić tę nędzę, którą widziałem wokoło mnie na tej Kamiennej 2. Możliwość zmiany życia na inne życie. Bo jak żeśmy się niekiedy skarżyli, narzekali, to moja mądra, kochana matka mówiła: „Kochani mamy, skromnie, ale patrzcie wokoło ile jest nędzy, ilu ludzi żyje w gorszych jeszcze warunkach niż my. Tak że nie patrzcie w górę na to, co mają lepiej, patrzcie wokół i bądźcie skromni, zadowalajcie się tym, co mamy, bo to nie jest najgorsze”. I to zostało duże ślady w mojej świadomości, to jej stanowisko. Ja byłem wtedy uświadomiony trochę politycznie, bo byłem czytany i pamiętam kłótnię z moją najmłodszą siostrą, 2 lata starszą, na imię Róża. Ona była wtedy troszkę lewicowa. I w czasie wojny domowej w Hiszpanii pokłóciliśmy się. Ona uważała, że wszyscy powstańcy mają rację, wszyscy, co powstają przeciwko rządowi, mają rację. A ja jej tłumaczyłem: „Kochanie, tu jest odwrotnie. Rząd jest republikański, wybrany legalnie przez ludność, a powstańcy są faszysty. Pod generałem Franco, popierani przez Mussoliniego i głównie przez Hitlera, to są wrogowie”. Nie udało mi się jej przekonać. Nadal uważała, że tylko powstańcy zawsze mają rację. To tylko dla pokazania, że już w tym wieku mieliśmy jakąś świadomość, co się dzieje wokół nas. 1 wrzesień 1939 roku. Zamiast rozpoczęcia nauki w gimnazjum imienia Józefa Piłsudskiego, wybuch II wojny światowej, nie tyle wybuch, tylko normalnie nazywać należy to napaść armii hitlerowskiej na nasz kraj. I Łódź została poddana bez strzału. Chyba 8 września Łódź została przejęta przez faszystowską armię hitlerowską. Tylko dwa krótkie epizody z tego pierwszego okresu wojny. 8 września stoimy na Piotrkowskiej, na głównej ulicy. Ludność się zebrała, oczekując na nadejście armii Wehrmachtu. I nadeszli. Niekończące się kolumny rojących, tryskających zdrowiem żołnierzy Wehrmachtu, armii hitlerowskiej. I oni... Promieniowali taką siłą, taką mocą budzącą lęk, że oni wszystko zdruzgoczą, zmiażdżą, co im stanie na drodze. Taką siłę oni wyrażali. I ten dźwięk. Do dzisiaj mam ciarki po grzbiecie, jak tylko wspomnę, jak to grzmiało, gwoździami podbite zelówki ich butów na tych kocich łbach ulicy. Ten dźwięk dotąd wywołuje u mnie ciarki na grzbiecie. I natychmiast po zajęciu Łodzi ukazały się plakaty ograniczenia głównie dla obywateli miasta Łodzi, pochodzenia żydowskiego, których było, 600 tysięcy mieszkańców Łodzi przed wojną, było 50% Polaków, 30% Żydów i 20% Niemców, czyli ponad 200 tysięcy mieszkańców pochodzenia żydowskiego. Nakazy, ograniczenie pobytu poza domem, nie można było opuścić domu po godzinie 6 po południu, z wyjątkami ludzi mających jakieś funkcje, oddać wszystko, skonfiskowanie wszystkiego wartościowego. Myśmy nie mieli nic wartościowego. I wkrótce, po paru tygodniach ogłosił prezydent tej okolicy, Friedrich Überheuer wygłosił przemówienie. To jest po niemiecku oryginał, ale mówi, że: „Stworzenie getta jest tylko tymczasowym, ponieważ zachowuje sobie prawo do decyzji, kiedy, jakimi środkami, getto, a tym samym miasto Łódź będzie zwolnione od Żydów. Naszym celem jest, żeby raz na zawsze wpędzić tę dżumę”. My już w grudniu tego roku spakowaliśmy nasze skromną mienie, trochę odzieży, trochę garnków, przyborów kuchennych i dostaliśmy przydział na mieszkanie, pokój na ówczesnej [ulicy] Brzezińskiej, obecnie Wojska Polskiego. Dołączyła do nas ciocia Ewa z Konina z mężem Michałem Widawskim. Miała sklepik na rynku w Koninie z przyborami kuchennymi, bo po którymś tam wbiciu szyb przez endecję, Narodową Demokrację faszyzującą grupę antysemitką, przeniosła się do Łodzi i miała na Narutowicza, taki trzeci dom od Piotrkowskiej, taki sam sklepik otworzyła. I przyłączyła do nas, mieszkaliśmy razem 8 osób: mama z pięciorgiem dzieci, ciocia Ewa z Michałem Widawskim. Potem wkrótce dano nam większy pokój na ulicy Świętego Jakuba 7, w oficynie na pierwszym piętrze, wyjście ze schodów, po prawej stronie część kuchenna, odgrodzona szafą kuchenną, na lewo część mieszkalna, dwa okna na podwórze, w środku stół, po przeciwnej ścianie duża szafa na odzież. I to było wszystko. Ja nie mam obrazu jak tam spaliśmy. Chyba były jakieś materace rozłożone na pod-

łodze, ale ja nie mam tego obrazu przed moimi oczami. No i zorganizowano to getto. Przybył Hans Biebow, kupiec z Bremy, szef zarządu getta. Mianowano Radę Żydów, Starszeństwo Żydów i przewodniczącym mianowano Chaima Mordechaja Rumkowskiego. I on, i Biebow zawiadowali gettem. Wizja Rumkowskiego była, okazała się potem słuszną, bo najwięcej ludzi uwiezionych za murami, za drutami kolczastymi, przeżyła właśnie z getta w Łodzi. Właściwie zmiana była nazwy miasta, na rozkaz Hitlera. Nazwisko nadano generała z I wojny światowej, Litzmanna. Czyli getto było w Litzmannstadt, a nie w Łodzi, bo Łódź była pokojowym miastem, tam nie było nigdy getta. Ale jest dyskusja semantyczna nad nazwą, czy można mówić łódzkie getto, czy mówić tylko getto w Litzmannstadt. Nie ma jedności na ten temat. W każdym razie zamieniono, ta wizja była, że póki jesteśmy hitlerowcom przydatni, potrzebni, użyteczni, to będziemy żyć. I za porozumieniem z Biebowem zamieniono ten teren miasta z ludnością wówczas około 160 tysięcy na obóz pracy. Stworzono tzw. resorty, nie fabryki, nazwano te resorty: odzieżowy, słomiany, metalowy. Mnie mającego wówczas lat 14, skierowano do resortu metalowego 1, który mieścił się przy Rynku Bałuckim, na którym były budynki zarządu, niemieckiego zarządu getta. Miałem różne funkcje. Najpierw jako galwanizator. Miałem zadanie pokryć lakierem krążki, które miały być przymocowane do takich plandek, na przeprowadzenie sznurów do ochrony broni, transportowanej na otwartych platformach. Rama, 100 haczyków, hak na suficie, taka winda. Zanurzałem w tym pojemniku z lakierem, wykręcałem, czekałem aż wyschnie lakier. Zdejmowanie krążków, to pakowałem do pudełek i na nowo kolejne sto zawieszałem. Z czasem lakier tak pokrył także te haczyki, że było trudno zdjąć i nałożyć inne. To byłem zmuszony dać tą ciężką ramę do kuźni, nad otwartym ogniem opalać ten lakier. Drucianą szczotką oczyścić i zawiesić na tym haku i mogę na nowo to robić. Ale czasem to mi się uprzykrzyło i wpadłem na pomysł. Czemu ja mam iść do ognia, kiedy ja mogę przynieść ogień do miejsca pracy? Wziąłem blaszane pudełko, napełniłem trochę lakierem, zapaliłem i trzymałem pod tymi haczykami, pokrytymi lakierem. Głupi, nie przewidując, że te palące się krople wpadną do tego zbiornika. I wtedy wszystko stanęło w płomieniach. To nie było dużo, to było metr na metr mniej więcej. Udało nam się szybko to ugasić, ale to nic nie pomogło. Za ucho do kierownika tego resortu, pana Chimowicza. To są dwa nazwiska jedyne, które zachowałem od tego okresu pobytu i w getcie w Litzmannstadt, i potem w obozach koncentracyjnych. Bo nigdy nam się ani esesman, ani funkcjonariusz Kapo w obozach nie przedstawiał swoim imieniem czy nazwiskiem. Najpierw parę policzków dostałem od pana Chimowicza i nagle zjawił się we własnej osobie szef zarządu getta, jak wspominałem jego nazwisko, Hans Biebow. Od niego znowu dostałem parę policzków. Jak wspominałem, byłem czytany i słowo „sabotaż” nie było mi obce. I następstwa tego też mi nie było obce. Myślałem, że moja ostatnia godzina wybiła, ale udało mi się jakoś w naiwny, mój dziecięcy sposób pokazać, wyjaśnić, że chciałem właśnie coś poprawić w trybie pracy, że nie miałem zamiar coś uszkodzić. Dali temu wiarę i zamiast powiesić albo postawić pod ściankę, skazali mnie na pracę w blacharni. I to była naprawdę kara, bo bez rękawiczek, bez dobrych przyrządów budować z blachy pudła na przewóz amunicji, to ostre kanty blach, żeby to falcować takim drewnianym młotkiem. Ciągłe rany na dłoniach ropiejące, bolące. Ale po pewnym czasie ten oddział zamknięto, żeby zrobić miejsce dla warsztatu części zamiennych do samolotów. Nas przeniesiono do innej fabryki, do innego resortu na łagiewnickiej 63. Też jest fabryka dawna. Ale tam mnie przydzielono do warsztatu elektrycznego. To już była zupełnie inna praca, więcej mózgowa niż ręczna, bo uczenie się połączeń kontaktowych, przewijanie motorów, silników. Poza jednym elementem roboczym, mianowicie przeprowadzania przewodów z jednego pomieszczenia na drugie, przy takich grubych ścianach z cegieł. O wiertarkach elektrycznych nie było mowy wówczas. Mieliśmy taką rurę metalową zazębioną z jednego końca, przypłaszczoną z drugiego i ciężkim młotkiem milimetr za milimetrem przebija się przez tę ścianę. Bardzo ciężka praca. Potem rurkę wstawiano, przewody przepro-

wadzano. Nasze życie codzienne w tym getcie Litzmannstadt. Dostawaliśmy przedziały żywności, tak zwane rancjony. Dostaliśmy taką kartkę, list, wydrukowane różne kupony na żywność, ale w tych miejscach rozdzielczych rzadko kiedy było to, co było tam wydrukowane. Dostawaliśmy na głowę na cały tydzień jeden bochenek chleba, około dwóch kilogramów. I to było podstawowe jedzenie. Mama była zmęczona, a siostra Lola rano wyjmowała jeden bochenek, dzieliła na osiem części, bo byliśmy w osiem osób, jak wspominałem z ciocią Ewą i mężem. Wujek Henryk zmarł i na jego miejsce przyszedł inwalida wojenny, Leon Węczycki, który był zraniony pod Skierniewicami we wrześniu 1939 roku, po amputacji lewego przedramienia w szpitalu Czerwonego Krzyża w Warszawie, zwolniony, zdrowy, wrócił ze swojego miasteczka do Warty nad Wartą. I kiedy hitlerowcy zaczęli likwidować te małe getta wokół Łodzi, wiele tych zdolnych do pracy kierowali, transportowali do getta Litzmannstadt. On się znalazł i zamieszkał u nas. Byliśmy znowu w 8 osób. Przy pracy dostawaliśmy zupełnego różnego rodzaju, rzadko pożywną, trochę wody, trochę warzyw tam było. No i wieczorem mama próbowała coś tam upitrasić, jakąś potrawę. To w Horazie głównie latem pół zgnitych kartofli, a zimą pół zmarzniętych kartofli. Ale główna część tego była brukiew, ten owalny, właściwie bydlęca potrawa, dla bydła. Żółtawa w środku trochę, z tym zapachem takim mdłym. Na samo przypomnienie tego, to mnie na mdłości zbiera. I tak szły tygodnie i miesiące. Chciałem jeszcze wspomnieć jedno zajście. We wrześniu 1942 roku hitlerowcy, niemieccy naziści, nagle doszli do wniosku, że dzieje się w getcie coś niesłychanego, czego nie można tolerować, mianowicie, że istnieją grupy ludzi, którzy nie są włączeni w proces produkcji dla dobra armii niemieckiej, dla Wehrmachtu i dla państwa, dla ludności niemieckiej. Mianowicie starsi ludzie powyżej 65 roku życia i chorzy oraz dzieci poniżej 10 roku życia. Ponieważ już od 10 roku życia już te dzieciaki włączano w produkcję, już były zatrudnione w tych resortach. I co z tym zrobić? Tego nie można tolerować z punktu widzenia nazistów. Wywołali tak zwaną wielką szperę, zakaz wychodzenia. Policja niemiecka i żydowska, bo organizacja w getcie była zostawiona samym Żydom, Niemcy nie mieszały się w to osobiście, tylko wydawali rozkazy. Otaczali czworobok domów. U nas to była: Kamienna, Wschodnia, Południowa i Kilińskiego, szli od mieszkania do mieszkania, zabierali wszystkich: starych, chorych i dzieciaki. I ten lament, krzyk i rozpacz matek, którym wyrywano dzieci z ramion, niemowlaki, przenika przez szpik kości, jest tragiczny bardzo i dotąd brzmi w moich uszach. Ciocia Ewa była 10 lat starsza od mamy, ale jest ciągle jeszcze poniżej sześćdziesiątki. Od nas nikogo nie zabrano. I tak mogliśmy dalej pracować dla dobra III Rzeszy, którą ja nazywam te 12 lat tysiącletniej Rzeszy. Ale już w roku 1944 na przedwiośniu zaczęły się rodzić jakieś rumory, pogaduszki, ponieważ byliśmy hermetycznie odcięci od świata zewnętrznego. Były druty kolczaste, wieże wartownicze, na których siedział wartownik, który tylko czekał na okazję, aż coś się zbliży poniżej 10 metrów, to wtedy miał okazję zabić tego człowieka z miejsca. Nie wywołać, żeby odszedł, ale to była dla niego przerwa w jego siedzeniu beczynnym cały czas. O gazetach nie było mowy, o radiu też nie, ale były pogłoski. I jak się potem dowiedziałem, to było po Stalingradzie, zaczął się odwrót tej zwycięskiej armii hitlerowskiej po porażce pod Stalingradem. No i tutaj nagle się ukazały plakaty, obwieszczenia. I proszę dokładnie słuchać wyraz tego cynizmu tych nazistów. Mianowicie: „W trosce o nasze dobro, ponieważ front się zbliża, Czerwona Armia stała nad Wisłą, po prawej stronie jeszcze, tylko 140 kilometrów od Łodzi, żeby nie doznać uszkodzenia, jeśli znajdziemy się między frontami, getto Litzmannstadt będzie przeniesione, pewnośc, bezpieczeństwo w głąb III Rzeszy. Zgłoście się dobrowolnie, dostaniecie dodatkową żywność na drogę”. No i to szło według tych resortów. Te ważniejsze zostawiano jeszcze, te mniej ważne najpierw likwidowano i ludzi transportowano. Tak samo jak nie mieliśmy pojęcia, jak w czasie tej wielkiej szpery w ciągu kilku dni getto zubożało o jakieś 15 tysięcy ludzi. Nie mieliśmy pojęcia dokąd tych ludzi zabrano, ale wiedzieliśmy potem, że to Chełmno nad Nerem, do tego obozu zagłady, obozu śmierci, gdzie nie było

baraków dla więźniów, tylko prosto po przywiezieniu, tych ludzi uśmiercano. I tutaj tak samo myśmy byli, przynajmniej ja, że wiemy, co mamy, a wszystko nowe, niewiadome budziło lęk. I postanowiliśmy nie zgłaszać się dobrowolnie. Jak słyszeliśmy, co się dzieje na podwórzu, odsuwałem szafę odzieżową od ściany jakieś 30–40 cm i jak słyszałem, że coś się dzieje, że zbierają ludzi, pakowałem moje 7 osób: mamę z 4 córkami, ciocię Ewę i kuzyna Leona łęczyńskiego, inwalidę wojennego. Dwa krzesła stawiałem przed tą szparą, trochę odzieży, żeby zakryć tą szparę. Wdrapywałem się po szafie, dołączałem się do rodziny. Drzwi otwarte, żadnych bagaży, żadnych plecaków. I usłyszeliśmy może dwa, trzy razy: „Ach, już ich zabrano”. Bo oni byli tacy nieufni, podejrzliwi, że wracali kilka razy do tego samego mieszkania. I tym razem, tym ostatnim, jak usłyszeliśmy: „Jak kogoś znajdziemy, to z miejsca zastrzelimy”. Mama, która znała niemiecki i rosyjski od czasów zaborów, bo urodzona w 1890 roku, przeżyła okupację rosyjską i potem niemiecką w czasie I wojny światowej, wykrzyknęła: „Nur nicht schießen!”. Tylko nie strzelać! Nie opanowała się. Od wewnątrz odsunęłam te dwa krzesła, Ja wyszedłem, mama, ciocia Ewa, trzy z moich czterech siostr, a kuzyn Leon i moja najmłodsza siostra Róża zostali w tej szparze. Oni byli tacy zdumieni, że aż sześć osób tam miało miejsca, że nie sprawdzili, czy tam jeszcze ktoś jest. No i zabrali nas do tzw. Umschlagplatz, do miejsca zbiorczego, na Czarnieckiej dawne więzienie. Po południu przyszła siostra, przyszła się pożegnać. Ona była w konspiracji i mówi: „Jest z grupą młodzieży socjalistycznej, czekają na wyzwolenie przez armię radziecką i ona nam nie będzie towarzyszyć. Ona się ukryje z tą grupą, znaleźli schowek”. Wybiegnę na przyszłość, jak się po wojnie dowiedziałem, jednak ich odkryto, zawieziono do Auschwitz-Birkenau, stamtąd do Stutthof nad Bałtykiem i stamtąd do usuwania min z torów kolejowych koło Królewca. I tam zginęła. Przenocowaliśmy w tym miejscu, nie wiedzieliśmy, że to było dawne więzienie. I nad ranem nadjechał pociąg kryty, wagony raczej do transportu bydła, a nie ludzi. W lewym tylnym kącie – taki wagon stoi na Radogoszczu w Łodzi, dosłownie – koc, a za kocem duży kubek na naturalne potrzeby. No i wpakowali nas do tego wagonu, że mogliśmy tylko stać obok siebie, nie było mowy, żeby się położyć albo usiąść. I co było charakterystyczne, drzwi zamknięto, pociąg ruszył, długie przerwy na bocznych torach, żeby przepuścić inne pociągi. Prawdopodobnie na front. I co zostało mi w pamięci charakterystyczne, nie słyszę żadnego dźwięku. Panuje cisza absolutna. Byliśmy tak rozczerowani, zaskoczeni, bo uznaliśmy od razu, coś tu się nie zgadza. Przecież tak się nie przewozi ludzi do nowego miejsca pracy, w takich warunkach. Bo ani jedzenia, ani picia. Zapadła noc, kolejny dzień, znowu noc i nie było ani głosów protestu, ani płaczów, ani rozczerowania. Pociąg stanął wreszcie, drzwi rozwarły, jakieś dziwne osoby w takich ubraniach w paski, biało-niebiesko-szare, takie pasiaki i krzyk, „Raus, raus!” – „Wyjść, wysiadać!”. Ja pomogłem mamie zejść i nagle okrzyki: „Kobiety w prawo, mężczyźni w lewo”. Pomachałem mamie ręką: „Mama, zobaczymy się w środku”. Chyba gdzieś wylądowaliśmy. Ciągłe jeszcze nie byliśmy świadomi tego, jak nas oszukano. Mama jeszcze wyglądała tak młodo, miała 54 lata. Biała bluzka, niebieski kostium. Miała szansę przeżyć z trzema córkami. Krzyk był znowu: „Do przodu, do przodu, do przodu!”. Jak potem siostry opowiedziały, jak dotarły do tego frontu, gdzie stali ci esesmani w tych czarnych mundurach, jeden z nich się nad mamą pochylił, to był ten M., tego nazwiska nigdy nie wymienię, ani jego tytułu, bo nie był godny tego zawodu, tego tytułu. On robił eksperymenty na ludziach, kryminalista. Zbrodniarz. Mama coś odpowiedziała, a potem wskazał tym słynnym kciukiem: „Na prawo – niezdolny do pracy, śmierć, na lewo, na odwrócenie – póki zdolny do pracy, będzie używany”. I ciocia Ewa trzymała mamę kurczowo za rękę. Jak pokazał cioci kciukiem na prawo, mama za nią poszła. Byłaby szansa, żeby przeżyła z trzema córkami, ale to spekulacja i pobożne życzenie. Ja biegnąc do przodu, nagle widzę w kącie oka ogrodzenie, słupy, druty kolczaste, ale ponadto także białe izolatory i przewody. Jako elektryk było dla mnie z miejsca jasne, że to są przewody pod prądem. I to rozczerowanie i zdziwienie, gdzie ja wylądowałem, że ogro-

dzenie ma przewody pod prądem. Do przodu, byłem drobny, szczupły, ale wyprostowany i ten kciuk skierował mnie na lewo, jako zdolny do pracy. Miałem wtedy 18 lat. Mam tutaj szereg dokumentów. Tu jest dokument, moja karta pracy z getta w Litzmannstadt. Mam tutaj – wrzesień 1943 roku. Miałem wtedy lat 17. Ktoś znalazł się, przyjaciel znalazł mnie, rozpoznał i mi to dał. I zaczęła się ta procedura dehumanizacji, odczłowieczenia, odebrania wszelkich atrybutów bycia człowiekiem. Ustawiono w piątki, zaprowadzono do budynku, kazali nam się rozebrać, oddać wszystko, co osobiste. Prysznic. Kolejny etap. Więźniowie, kapo z maszynkami do strzyżenia włosów, usunęli owłosienie, wszystkie owłosione miejsca ciała, tak brutalnie, bo bardzo duża kolejka, szybko to miało iść, że tymi włosami sporo kawałków skóry folgowało. To okropnie paliło przy następnym etapie dezynfekcji, takim oleistym płynem, cuchnącym zapachem karbolu czy fenolu. No i przy wyjściu z tego pomieszczenia, z tego budynku wrzucono nam koszulę, kurtkę, spodnie i wskazano nas do żywniaków. Zaprowadzono nas do kolejnego budynku. Dziwny budynek, podzielony pośrodku z paleniskami z przodu i z tyłu z kominami i połączone były te dwa miejsca, te paleniska, taką nadbudową, budową z cegieł, jakieś 3/4 metra. I nagle przyszedł dobrze wyglądający, dobrze ubrany więzień, około pięćdziesiątki, i chodził po tej z cegieł nadbudowie. I nas namawia na początku spokojnie, potem coraz groźniej, jeżeli ktokolwiek z nas schował w naturalnych otworach ciała kosztowności, czy dolary złote, czy biżuterię, czy inne kosztowności, będzie rentgen przeprowadzony, jeżeli ktoś odkryje, będzie strasznie ta osoba ukarana. Moja reakcja była: „Strasznie ukarana? Czy to, cośmy już przeszli, to traktowanie nie starczy jako okrutne?”. Tak, parę osób tam stało i coś rzuciło do takiego wiaderka. No i potem nas rozdzielono na różne bloki, to nie były baraki tak zwane, tylko bloki. Ja jako młodzieżowy zostałem skierowany do bloku młodzieżowego, dziesiątego. Gdzie ja jestem, nie miałem najmniejszego pojęcia. Nam nigdy, także potem, w tych kolejnych obozach koncentracyjnych, w obozach pracy nam nie mówiono, kiedy i dokąd nas będą przewozić. Oni nas będą transportować. Że to było Auschwitz-Birkenau dowiedziałem się dopiero po wojnie. Ja zapadłem w taki stan, który nazywamy w medycynie katatonią. Stan jakiegoś otępienia, jakby wyłączenia wyższej czynności mózgowej. Podstawowe zachowania, czyli słuchać, widzieć, czuć, wykonywać rozkazy, to było zachowane, ale myśli, rozważania były jakby ograniczone albo wyłączone. Otoczyłem się niewidzialną zaporą, żeby odsunąć wszystko, co docierało negatywne, co z nami robiono, co nam wyrażano. I to było takie trwanie jako reakcja na oddzielenie, rozstanie z rodziną, a byłem sam, bo w tej grupie, z którą przybyłem, z którą nas przywieziono do Auschwitz-Birkenau, nie widziałem żadnej znajomej mi twarzy, poza jedną, zaraz o tym wspomnę. Ale najbardziej dokuczające było okrągłą dobę, bez przerwy, dym z tych wysokich kominów, cuchnący spalonym mięsem. I byłem w takim stanie właściwie otępienia. Jak się potem dowiedziałem, to było miejsce w Auschwitz-Birkenau, graniczące z krematoriami z jednej strony i z obozem kobiecym z drugiej strony, wyznaczone jako rezerwa pracy. Jak przyszło zarządzenie czy prośba o 200–300 pracowników, to wtedy z tej grupy wybierano i wysłano do obozów pracy blisko miejsca pracy. Czy Siemens, czy Krupp, czy jakaś inna firma hitlerowska. Pewnego dnia słyszę krzyk: „Oj, ty tu jesteś?”. Patrzę, to kolega z klasy. Wypasiony, w pasiaku jak na miarę szytym, czapeczką tak na skos i mówi: „Oj dobrze, że cię widzę, pomówię z moim blokowym, może on się także tobą zaopiekuje”. Ja byłem, jak wspominałem, czytany, i pojęcie homoseksualizm nie było mi obce. I wylądowanie w łóżku blokowego, tak nazywano więźnia, który miał funkcję zażądania blokiem z innymi więźniami. I to mi się bardzo nie uśmiechało. Jakoś go się pozbyłem, powiedziałam, że teraz nie, może innym razem. Od tego czasu byłem negatywnie napięty, że się znowu na niego nadzieję. I co zrobić, żeby nie być zmuszonym wylądować w łóżku tego blokeltester, blokowego. Bo oni byli tacy wyrafinowani hitlerowcy, że nad Żydami dawali zwierzchników, tych kapo blokowych, ruskich albo Polaków, wykorzystując te animozje, przeciwieństwa etniczne nad Polakami – ruskich, nad

ruskimi – Polaków, a nad Żydami – i Polaków i ruskich. I w tym stanie trwałem, tak szły dnie i tygodnie. To była już późna jesień, bo nas wywieziono z getta w Litzmannstadt, mam papiery, że nas rejestrowano, moje siostry, 19 sierpnia, mam papiery, które ich rejestrowano. Ja nie mam takich papierów, bo mnie się udało pewnego dnia, to była jesień, październik, chodząc po tej ulicy między barakami, między tymi blokami, pod blokiem szesnastym i osiemnastym widzę nagle tłum, grupę nagich mężczyzn. To jest rok 1944 jesień, jeszcze ciągle 1944 rok. Po pewnym wahaniu, bo byłem bardzo nieśmiały, zapytałem: „Co tu robicie nago?”. I oto dostałem odpowiedź: „Byliśmy rejestrowani – dostali numery na lewej przedramieniu – czekamy na odzież, żeby wyjechać na robotę”. I słowo „wyjechać” było jakby sygnał. Bez zastanowienia, odruchowo, tylko spojrzałem w lewo, w prawo, ani SS-manów, ani kapo w polu widzenia, w cieniu ściany tego bloku, zrzuciłem z siebie te trzy już postrzępione łachy i wmieszałem się głęboko w ten tłum nagich mężczyzn. Oni byli tacy apatyczni, nie wiem, jak długo oni tam stali, nie reagowali na to. I zaprowadzili nas do bloku odzieżowego, dali nam ubrania, wyprowadzili. I moje ostatnie spojrzenie, tak głowę odwróciłem, po prawej stronie, tam gdzie widziałem kobiety za drutami kolczastymi, kobieta przylepiona do ogrodzenia wybrała śmierć, jakby na krześle elektrycznym, rzuciła się na te przewody elektryczne. Przewieziono nas do miejsca, też nie wiedziałem dokąd to jest, ale po krótkim czasie wywołano nas. Poszukują, potrzebują elektryków. Zgłosiłem się na elektryka i przewieziono nas, tych, co się zgłosili, do podobozu Gross-Rosen, jak się potem dowiedziałem, do Dörrnhau, obecnie Kolce. I tam zatrudniono mnie jako elektryka, w tym sensie, nie tego, co się uczyłem, jak byłem w warsztacie elektrycznym w getcie w Litzmannstadt, tylko miałem prowadzić przewody elektryczne do projektu Riese w Górach Sowich. Wyburzono w górach olbrzymie sale na przyszłe fabryki amunicji. Ja miałem rolę doprowadzić prąd do tych przyszłych fabryk. W środku nigdy nie byłem, to są dokładnie opisane, dotąd prawie nieruszone, system tunelów podziemnych. I to mi także ułatwiło przetrwanie, bo to pierwsze, że tymi paru krokami uniknąłem śmierci w komorze gazowej. Jak się po wojnie dowiedziałem, świadek, przyjaciel rodziny, Fele Kuperman, był także w Auschwitz-Birkenau, widział mnie w tym bloku 10, młodzieżowym, i był świadkiem, jak cały ten blok, wszystkich, całą młodzież, uznano jako niezdolną do pracy, nieużyteczną, i zaprowadzono do komory gazowej, uśmiercono i potem spalono. On był pewny, że ja byłem w tej grupie.